

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Nieznany bohater zbarazki

Niefortunna kampania dr. Górki przeciw Sienkiewiczowi i jego powieści historycznej „Ogniem i mieczem” miała jedną — nieprzewidzianą z pewnością przez tegoż dobrą stronę.

Historycy nasi, zwalczając błędne tezy dr. Górki i wytykając mu grube nieścisłości i błędy historyczne, — zabrali się z zapałem do wertowania starych źródeł i rękopisów — i przy tej sposobności odnaleźli nie jeden nieznany dotychczas, lub nie wyzyskany należycie szczegół.

Tak właśnie rzecz się ma z nieznanym bohaterem z pod Zbaraża, Krzysztofem Stapkowskim, o którym szereg interesujących, autentycznych informacji podaje Zygmunt Lasocki w swej świeżo wydanej broszurce*).

Krzysztof Stapkowski pochodził z zamożnej rodziny, osiadłej na terenie województwa ruskiego. Nazwisko to spotykamy po raz pierwszy w połowie XVI wieku w ziemi przemyskiej.

Zadzierzysta to była szlachta. Ojciec Krzysztofa, Jan, miał w roku 1620 sprawę w lwowskim urzędzie grodzkim o „raptus puellae”. Sprawę gardłową, — szło bowiem o porwanie panny Eufemii Świrskiej z domu jej ojca w Podliskach. Sprawa jednak nie pociągnęła żadnych groźniejszych następstw dla pana Jana.

Wkrótce potem także sam urząd grodzki rozpatrywał sprawę jejmości Eufemii, wówczas już małżonki Stapkowskiego, wytoczoną jej przez niejaką Annę Rogowską. W wyniku jakichś nieporozumień, energiczna pani Eufemia kazała rozłożyć na ziemi swą adwersarkę i w obecności swego męża, po podniesieniu sukni, niemilosiernie ją obila.

Rogowska po wyleczeniu się sama osobiście wniosła skargę, przyczem — jak podają akta grodzkie — „ostendit in corpore suo videlicet in tergo multa vulnera”.

Jednym z synów tej krewkiej pary był właśnie Krzysztof Stapkowski.

Krzysztof ożenił się z Maryną Szandyrówką, wdową po Stefanie Postolowskim, dziedziczką po zmarłym swym rodzicu, Andrzeju Szandyrskim (pisał się także Szandarowskim), znacznych włości w wojew. bractawskim. Ta, za usilną namową męża, który pragnął przenieść się w inne okolice — zapewne przewidując nadciągającą już burzę kozacką — sprzedała swoje dobra w Bractawskim.

Część uzyskanych stąd pieniędzy użył małżonek na kupno „różnych ryśztunków”. Część złożył do przechowania w bezpiecznym miejscu. Gdy się rozpoczęły walki z Kozakami, małżonkę wyprawił do ks. Wiśniowieckiego

wojewody ruskiego, sam zaś wyruszył na wyprawę przeciwko Kozakom. W czasie „expedyciey pilawieckiej” małżonka p. Stapkowskiego zaginęła.

Jego zaś spotykamy w roku 1649 jako rotmistrza chorągwi tatar, ks. Jeremiego Wiśniowieckiego w obleżonym Zbarażu. Tu powierzono mu nadzwyczaj trudną i niebezpieczną misję przedarcia się przez pierścień wojsk kozackich i tatarskich, otaczających ze wszech stron obóz zbaraski, dla zawiadomienia króla o nader ciężkiem położeniu obleżonych i domagania się od niego jaknajszybszej odsieczy.

Już kilku wysłanników wyruszyło było przed nim ze Zbaraża, nie było jednak żadnej wiadomości, by którykolwiek z nich doszedł do obozu królewskiego. Ks. Jeremi wysłał ich był pięciu przed Stapkowskim. O schwytaniu i ścięciu jednego z nich przez Kozaków doniósł ironicznie Chmielnicki ks. Wiśniowieckiemu. Losy innego opisał sekretarz królewski Kuszewicz: był to czerniec prawosławny, którego Kozacy schwytali wylupili mu oczy, poobcinali ręce i zadali wiele innych ran, a potem „na despekt” odesłali go do Lwowa. Również i regimentarze wysłali trzech wysłanników. Z nich jedynie towarzyszył pancerny Skrzetuski dotarł już był do króla, o czym jednak nie wiadomo w obozie zbaraskim, gdzie głód i brak amunicji groziły katastrofą już w najbliższym czasie.

O wyprawie Stapkowskiego piszą stosunkowo dość liczne źródła: W Djarjusz obłężenia Zbaraża zapisana pod datą 11 sierpnia 1649 roku, iż, po tajnej naradzie regimentarzy z ks. Wiśniowieckim, wyprawiono do króla z listami rotmistrza Tatarów tegoż księcia, Stapkowskiego który przeprawiwszy się przez stawwraz z kozakiem i dwoma Tatarami swojej chorągwi, przy pomocy Bożej, szczęśliwie przedostał się przez wojska nieprzyjacielskie. O przybyciu zaś „odważnego żołnierza” Stapkowskiego, po ciężkich przejściach, do obozu królewskiego, z wiadomościami o groźnem położeniu obleżonych, pisze „Diarius Expeditiey Zborowskiej”.

Spotkanie Stapkowskiego przez króla opisuje Kochowski: „Król spotkał w drodze Stapkowskiego, który od Regimentarzy zesłany z pod Zbaraża w ostatniej potrzebie po sukces, z wielką odwagą i rezolucją czołgnął się przez staw przewiózł, w nocy w trzcinie siedząc, w dzień w chrustach czołgał się manowcami przebiegał się, w błocie topiąc się, nieprzyjacielskie przebył strażę, że prawdziwą relacją czynił, twarz świadkiem była chuda, blada i mizerna. Co król w liście wyczytał, to z oblicza wszyscy wyrozumieli”.

O tem przybyciu Stapkowskiego, rotmistrza ks. Wiśniowieckiego, do obozu królewskiego wspomina również

Pastorius, jedyne źródło, które wymienia równocześnie obu wysłanników obleżonego Zbaraża, Skrzetuskiego i Stapkowskiego, gdyż inne źródła wspólnie piszą albo o jednym, albo o drugim.

Tak Skrzetuski, jak i Stapkowski przekradali się widocznie jedyną możliwą drogą przez staw zbaraski, a następnie rzeczką Gniezną (Hnizna).

Czyn Stapkowskiego nagroził Jan Kazimierz przywilejem z daty 18 grudnia 1650: Uwzględniając długoletnie zasługi Krzysztofa Stapkowskiego, rotmistrza pod znakami Jeremiego ks. Wiśniowieckiego, a w szczególności najświeższe z okazji obłężenia Zbaraża, zezwolił król, aby prawo do dożywocia na wsiach Nowystaw i Czestynie, należących do starostwa kamionckiego (Kamionka Strumiłowa), tudzież do młyna zwanego Krzywoleskim, przysługujące Zofii z Pałuszyc, rozszerzono także na jej obecnego małżonka, tegoż Krzysztofa Stapkowskiego.

Dowiadujemy się z tego przywileju, iż nasz Zbarażczyk ożenił się powtórnie z Zofią z Pałuszyc Pałuską. Była ona wdową po Samuelu Gluzickim i posiadała, oczywiście po nim, dożywotnio wspomniane królewszczyzny. Prócz królewszczyzny wziął Stapkowski za małżonką dwie pasierbice, córki jej z pierwszego małżeństwa, z którymi miał później różne kłopoty.

Gdy przyszła zawierucha szwedzka, wyruszył pan Krzysztof, podówczas rotmistrz Jego Królewskiej Mości, w pole. Zdobył sobie nowe uznanie królewskie.

Późniejsze akta wspominają o zażądaniach Stapkowskiego z Samuelem Grują, znanym również z męstwa oficerem, który porwał był jego starszą pasierbicę, Katarzynę Gluzicką.

W tym samym czasie spadł na p. Krzysztofa większy może jeszcze cios. Zjawiła się pierwsza jego małżonka. Zaskarżyła go o cudzołóstwo („adulterium”, była to raczej bigamia) i zażądała zwrotu swojego majątku, którego wartość podała na wcale wysoka, jak na owe czasy, kwotę 40 tysięcy złotych. Rozżalona małżonka twierdziła, że mąż się wcale o nią nie troszczył, gdy się dostała w ręce nieprzyjacielskie po „porażce Pilawieckiej”, — tak jakgdyby to było możliwem w tym zalawie kozackim i tatarskim kogoś odszukać na Ukrainie lub może na Krymie. Jak się owa sprawa małżeńska zakończyła, nie uwidoczniło w aktach lwowskich. Ciągnęła się ona zapewne — jak zwykle — latami.

Tymczasem rotmistrz Stapkowski zginął. Ostatnią wzmiankę o Stapkowskim, jako żyjącym, spotykamy w lipcu 1665 roku, gdy protestuje przeciwko Cetnerowi, kasztelanowi halickiemu, iż ten, w przechodzie ze swoją chorągwią przez Świrz, zarekwirował bez-

prawnie dwa konie Stapkowskiego, wartości 600 zł., a sprzeciwiającą się temu bezprawiu pasierbicę Stapkowskiego pannę Konstancję Gluzicką, przez trzy dni więził, służył zaś jego, szlachcica Łęskiego, poranił. Z zapisku w aktach grodzkich lwowskich z dnia 12 lipca 1668 dowiadujemy się, że Anna z Jaroszewskich, wdowa po Janie Dembowskim wicerotmistrzu chorągwi Krzysztofa Stapkowskiego, pokwitowała Zofię z Pałuskich, wdowę po tymże Krzysztofie Stapkowskim, rotmistrzu J. K. M., z odbioru delji koloru winnego (pasowego), podbitego rysiami, którą nieboszczyk jej małżonek pozostawił był u Stapkowskiego. Być może, że tak rotmistrz Stapkowski, jak i jego podkomendny zginęli podczas walk, jakie się toczyły na jesień roku 1667 z połańcami.

Pióro znakomitego pisarza nie opromieniło sławą pamięci Krzysztofa Stapkowskiego, tak jak się to stało z Skrzetuskim. Czyn jego z czasów obłężenia Zbaraża nie przeszedł do wiadomości ogółu. Przeciwnie znalazł się historyk, który wszelkiej zasługi mu zaprzeczył.

A przecież zasłużył Krzysztof Stapkowski, pomimo błędów swoich, swoją ofiarną, a tak niebezpieczną wyprawą ze Zbaraża, dla ratowania znajdujących się w największej opresji obrońców, tudzież męstwem okazanem w długoletniej służbie wojennej dla Ojczyzny, na wdzięczne wspomnienie.

Wszystkie te szczegóły, zebrane skrzętnie przez Z. Lasockiego, a oparte na autentycznym materiale, nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do faktu przedarcia się Krzysztofa Stapkowskiego ze Zbaraża do obozu królewskiego.

Dr. Górka, któremu znane były dwa najważniejsze źródła historyczne, na których opiera się i Lasocki, — w słynnej swej broszurze „Ogniem i mieczem, a rzeczywistość historyczna” twierdzi kategorycznie, że „wymieniony w djarjum zbaraskim pod datą 11/8 1649 Stapkowski i jego dwaj Tatarzy, według wszelkich danych nigdy nie wyszli”.

Widzimy więc, konkluduje Lasocki, że dr. Górka niedokładnie badał źródła, które się odnoszą do faktu, jaki opisuje — jest ich bowiem znacznie więcej, aniżeli te, które podał — a z tych które badał, wyciągnął wnioski wręcz sprzeczne z tem co zawierają, i napisał nieprawdę, krzywdząc pamięć dzielnego i zasłużonego żołnierza. (kr.)



Chcesz odbyć
podróż
tanie - szybko -
wygodnie?
Leć samolotem!

*) Zygmunt Lasocki, Nieznany bohater z pod Zbaraża, — Kraków 1934. Na-
kładem autora.

Wpływ Żydów na masonerię i ich udział w niej

„Masoneria jest instytucją żydowską, której historia, stopnie, godności i hasła, oraz nauki są żydowskie, od początku do końca.”

Rabin Krajowy Dr. Izak M. Wise, „Israelite of America” z 3, 8, 1855.

Cytat ten jasno przedstawia i charakteryzuje istotę rzeczy — o której będzie mowa. Udział Żydów w masonerii i to udział kierowniczy, został stwierdzony z całą pewnością. Żydzi rozprósnieni po całym świecie — przedstawiają zaledwie 1 proc. całej ludzkości i pomimo tego potrafili zachować swoją odrębność rasową, tworząc silną kastę, która wywiera wpływ na losy państw i ich politykę, oraz stara się opanować władzę nad całym światem. Niema chyba jednego państwa w Europie lub za oceanem, w którym Żydzi nie zasiadali w rządzie, jeżeli nie jawnie, to ukryci czy to pod zmienionym nazwiskiem, czy to pod zmianą wiary (zmiana taka o ile istnieje, to zrobiona jest w interesie). Tak zwani kryptożydzi, są nawet gorsi od Żydów jawnych, bo nie zwracają na siebie uwagi.

Dziwnym wydać się może fakt, że Żydzi pomimo rozprósnienia po całym świecie, zachowali swoją odrębność kastową i rasową, dziwnym się może wydać, ale tylko temu, kto nie poznał duszy żydowskiej, żydowskiej etyki i historii; temu, kto te rzeczy poznał, fakt ten przestaje być dziwnym.

Żydzi uważają się za „naród wybrany”, który ma za zadanie podbić cały świat, ujarzmić i rzucić sobie pod nogi.

Żaden Żyd nigdy nie zapomina o tem, że jest Żydem, a wszystkich nie-żydów uważa za zwierzęta. By jednak zachować swą spójność pomimo rozprósnienia po całym świecie, musi istnieć jakaś władza żydowska — kierownicza, która nadaje ton całej tej rasie.

Taką pierwszą władzą żydowską, stojącą na straży swojego ludu na całym świecie, był „Synhedryn” (Synhedrion) — inaczej rada kapłanów (rabinów), składająca się z 71 członków z przewodniczącym na czele. Synhedryn sprawował władzę nad całym żydostwem, nie był on ciałem wybieralnym, ani demokratycznym, nie był odpowiedzialnym przed narodem.

Władzę swą czerpał sam ze siebie, bo czytamy w żydowskiej encyklopedji:

„Synhedryn prawdopodobnie sam sobie nadawał władzę, ponieważ składał się z najwybitniejszych członków rodzin arystokratycznych i kapłanów.”

Synh. oficjalnie przestał istnieć z upadkiem państwa żydowskiego w r. 70, fakty jednak wskazują, że egzystował on w dalszym ciągu, aż do IV. w. w takiej formie, w jakiej go przedstawiłem; później ustrój synhedrynu zmienił się o tyle, że kierownicy jego zostali podzieleni na komitety, zależnie od kraju lub od zakresu spraw, którymi kierują.

Od najstarszych czasów odbywały się i odbywają zjazdy wszechświatowe Żydów, ze wszystkich krajów, nie należy jednak przypuszczać, że uczestnicy tych zjazdów należą do wewnętrznego koła synhedrynu, są oni tylko agentami i referentami z poszczególnych krajów, władzę zaś posiada grupa rabinów, mająca do rozporządzenia finansjere żydowską, oraz „sztab generalny”, loże masonskie. Maszynieria żydowskiego rządu wszechświatowego, funkcjonuje bez zarzutu. Każdy Żyd jest przekonany, że posiada najlepszą religię, najwyższą moralność, najcenniejsze hasła społeczne i t. p. Każdy Żyd wierzy w swe „nadszłości”, i każdy Żyd podporządkowuje się swej ukrytej władzy.

Żyd, zamieszkujący którykolwiek kraj, uważa tuziemców za swoich wrogów, jego jedynym celem jest wywyższenie w jakikolwiek sposób swego żydostwa, oraz wydobyć jak największych zysków z nie-żydów. To też niewidzialny rząd żydowski, jego polityka w stosunku do przyszłości, nie natrafia na żadne trudności ze strony Żydów. Każdy Żyd, choćby najbiedniejszy i niewykształcony, zdaje sobie sprawę z tego, że jest członkiem „jednego narodu — narodu wybranego”, że obowiązkiem jego jest narodzić temu pomagać.

Nie łatwo jest zapanować nad światem, 1 proc. całej ludzkości, która trudne zadanie ma przed sobą, zadanie to jednak w lwiej części już spełniła.

Finansjera świata prawie zupełnie w rękach żydowskich. By jednak mieć wpływ na losy państw, by kierować ich ruchem politycznym, Żydzi stworzyli masonerię. Finansjera żydowska, masoneria i prasa (która też w większości opanowana jest przez Żydów), to broń, którą Żydzi mają zawojować świat cały.

Trudno w artykule przedstawić genezę ruchu masonskiego, zaznaczyć tylko należy, że wyszedł on od żydostwa. Mógłby ktoś postawić zarzut, że w pierwszych lożach masonskich niema Żydów, Żydzi więc nie są twórcami wolnomularstwa. Prawdą jest, że w pierwszych lożach Żydów niema lub są ukryci, ale niezapominać należy, że Żydzi robotę swą wykonują zawsze za czyjśmi plecyma, lubią strzelać z za płotu.

Zresztą wytworzenie masonerii przez Żydów samych nie przedstawiałoby dla nich wartości z tego względu, że trudniej byłoby im uzyskać wpływ na rządy poszczególnych państw, oraz zwróciłoby uwagę całego świata na siebie, który wystąpiłby napewno przeciwko nim, a wtedy cały plan spaliłby na panewce.

Dlatego też użyli do tej roboty „gojów”, omamiając ich z gruntu fałszywymi hasłami, brzmiały jednak szczerze i mającymi na pozór doniosłe cele ogólno-ludzkie. Postuchajmy, co Żydzi sami o tem mówią:

„...goje zapisują się do loż, jedni powodowani ciekawością, lub też nadzieją dorwania się tą drogą do godności społecznych. Nie wzbudzamy im tego powodzenia, by korzystać z powstałej na tem tle zarozumiałości i przekonania o wartości własnej, dzięki czemu ludzie ci przyjmują bezkrytycznie nasze projekty. Nie wyobrażamy sobie nawet, jak łatwo najrozumniejszych gojów doprowadzić do nieświadomej naiwności, o ile przekonani są o wartości własnej, a jednocześnie jak łatwo przy pomocy najmniejszego niepowodzenia, bodajby braku okłasków pozabawić ich pewności siebie i doprowa-

dzić do zupełnej uległości, skoro zapewnić im tylko nowe powodzenie. O ile nasi lekceważą niepowodzenie, byle przeprowadzić tylko plan dany, o tyle goje gotowi są zaniedbać wszelkie plany dla chwilowego powodzenia. Ta psychologia gojów ułatwia nam znacznie zadanie kierowania nimi” (Protokoły mędrców Syonu).

Również dokładnie poznajemy cele masonstwa z 11 protokołu M. S., z którego dowiadujemy się, że:

„goje to stado baranów. Zamkną oni oczy na wszystko, bowiem obiecamy im zwrot wszystkich odebranych swobód po zwyciężeniu wroga pokoju i pokonaniu wszystkich potęg. Czy war to wspominać, jak długo oczekiwali będą tego zwrotu? W jakimże innym celu wymyśliliśmy i narzuciliśmy gojom całą tę politykę, nie dając im możliwości zbadania jej treści, jeżeli nie w tym żeby drogą okólną osiągnąć to, co jest prostą drogą niedosięglą dla naszego rozprósnionego plemienia.”

To więc jest głównym celem masonerii i dlatego właśnie została stworzona, ażeby przy pomocy „gojów” zdobyć drogą okólną to, co jest prostą drogą niedosięglą, tj. panowanie żydostwa nad światem.

Masoneria więc jest politycznym organem wykonawczym żydowskiego trustu finansjery światowej, jest decydującym narzędziem politycznym żydowskiego narodu, rozprósnionego po całej ziemi.

Znajduje to potwierdzenie w uchwale konwentu loży „Wielkiego Wschodu Paryża” (Grand Orient de Paris), która deputowanym, należącym do loży, nakazuje:

„Wszyscy mężowie, którzy piastują jakiś urząd publiczny, mają się poddać dyktatowi tajnych przywódców żydostwa świata, bo oni to dają lożom wolnomularskim swe polecenia co do zachowania się ich we wszystkich ważnych sprawach życia narodowego.”

Masoneria we wszystkich krajach puszcza swe macki, we wszystkich państwach kulturalnych panuje prawie nieograniczony absolutyzm żydostwa świe-

towego, którego zaufani zasiadają we wszystkich lożach, na naczelnich stanowiskach.

Największe skupienia Żydów w lożach masonskich znajdujemy, poza Ameryką, w Austrii, gdzie wielkim mistrzem wielkiej masonerii jest Ryszard Schleizer, wielcy mistrzowie deputowanych Adolf Kapralik, Robert Pelzer i Fryc Walker, wielcy sekretarze L. Fleischer, Otto Fuchs, skarbnicy Art. Hahn, R. Spielmann, dalej idzie cały szereg Żydów, z których należy jeszcze wymienić prof. Kohn-Kelsena (prof. prawa państw.) i Dr. Frankfurtena.

Okoliczność stwierdzająca, że naczelne stanowiska w masonerii obsadzone są przez Żydów, pozwala poznać ogromną potęgę i wpływ, jakie żydostwo wywiera na wszystkie państwa.

Ruchu masonskiego lekceważyć nie można, potrzeba i musi się stworzyć ruch przeciwstawiony wolnomularstwu. Włochy pierwsze ruch taki stworzyły — faszyzm jest takim antidotum przeciw masonskiemu, jest on zarazem najlepszym dowodem konieczności zwalczania masonstwa ze stanowiska polityki narodowej, co potwierdza również włoska ustawa przeciwmasonska. Chociaż masoneria jako reakcja przeciw temu ogłoszona w prasie oświadczenie, że: „Mussolini jest w błędzie, jeśliby mniemał, że ten akt terroru (ust. przeciwmasonska) (uśmierci we Włoszech Sztukę Królewską” („Wiener Freimauer-Zeitung” Nr. 516 z sierpnia 1925). Mussolini nie ulękł się ukrytej groźby i plan swój przeprowadza bardzo dokładnie.

Tem tego poczucia siły, jaką wykazują masoni, jest to, że finansjera świata prawie cała jest w ich rękach, dzięki czemu mogą przeprowadzić to, co tylko chcą. W urzędowym ogłoszeniu Wielkiej loży Paryża, czytamy: „Bracia pozwólcie sobie obwieścić, iż spodziewamy się, że masoneria dokona rewolucji między narodowej”. Żydostwo i rewolucja, są pojęciami tak bliskimi, jak bliskimi pojęciami jest żydostwo i masoneria, bo nie tylko na czele loż stoją przeważnie Żydzi, ale nawet rytuał masonski jest wybitnie żydowski.

W książeczce p. t. „Stimmen aus dem Osten”, napisanej przez hamburskiego rabina G. Saloma, na str. 106—108, czytamy:

„Dlaczego w masonskim całym rytuale niema ani śladu kościelnego chrześcijaństwa? Dlaczego imienia Chrystusa nie wymienia się ani raz, czy to w przysiędze czy to w modlitwie, którą odmawiają masoni w czasie otwarcia loży? Dlaczego masoni liczą nie od narodzenia Chrystusa, lecz od początku świata jak Żydzi. Dlaczego niema masoneria żadnego symbolu chrześcijańskiego?”

Argumenty, które przytoczyłem, wymownie świadczą o roli, jaką Żydzi odgrywają w masonerii, oraz o jej celach.

Jeżeli chodzi o rozpowszechnienie i liczebność loż masonskich, to na podstawie kalendarza wolnomularskiego z roku 1926, wydanego przez Dr. Zeichela w Lipsku, cyfrowo przedstawia się masoneria następująco (w okrągłych liczbach) 28.000 loż masonskich z ogólną liczbą „braci” 3.860.000, z czego na Europę przypada 8.800 loż i 580.000 członków. W Polsce mamy 15 loż.

Cała masoneria dzieli się na dwa zasadnicze odłamy, a to na: „Wielką Lożę” i „Wielki Wschód”; w Polsce są ekspozytury i Wielkiej Loży i Wielkiego Wschodu. Poszczególne loże łączą się w większe związki, jak np. „Związek wielkich loż niemieckich”, „Międzynarodowy związek Masonski” i t. d.

Jedną z najpotężniejszych loż jest loża wyłącznie żydowska pod nazwą „United Order B'nei B'rith”, założona w Stanach Zjedn. przez Żyda H. Jones'a, w r. 1842. Obecnie posiada ta loża swoje filje w Europie.

Masoneria odbywa bardzo często kongresy wszechświatowe, na których omawiane są różne sprawy i na których ważą się losy państw. Jeżeli chodzi o masonerię polską, to jak wspominałem — w Polsce jest 15 loż, omówieniem których zajmę się osobno.

T. K.

Krótkie wiadomości lekarskie

Choroby zakaźne

Wśród licznych wydawnictw Sekretariatu Ligi Narodów na specjalną uwagę zasługuje „Przegląd Epidemiologiczny”, zawierający dane co do rozpowszechnienia i nasilenia chorób zakaźnych na całym świecie.

Z wydawnictwa tego dowiadujemy się, że właściwie niema takiej choroby zakaźnej, której ognisko zupełnieby wygasło. Wszystkie epidemie srożą się stale w tej czy innej części świata, a tylko olbrzymim postępem higieny mamy do zawiąznięcia, że epidemie te nie przybierają katastrofalnych rozmiarów i mogą być zlokalizowane.

Tak więc statystyka za pierwszy kwartał bieżącego roku wykazuje przedewszystkiem Indie, jako stałe ognisko najgroźniejszych epidemii: dżumy (58523 wypadków), cholery (19650 wypadków) i ospy (80914 wypadków), — przyczem liczba zachorowań na ospę znacznie się zwiększyła.

Europa wolna jest od cholery; natomiast wypadki dżumy notowano sporadycznie na Azorach i we Francji (8 wypadków), dokąd przywleczono ją z Dalekiego Wschodu.

Co się tyczy ospy, to największe nasilenie tej choroby zanotowano w Portugalii (279 wypadków), — nie są również wolne od ospy Anglia i Hiszpanja. W Polsce zanotowano jeden wypadek ospy w lutym, a drugi w maju br.

Spośród chorób zakaźnych w Polsce największe nasilenie wykazują: błonica, dur brzuszny i dur plamisty.

Surogaty chininy

Na podstawie ankiety, przeprowadzonej w 65 krajach, stwierdzono zostało, że roczne zapotrzebowanie chininy dla zwalczania zimnicy wynosi

1,387.400 kg., — podczas gdy światowa produkcja chininy zdoła pokryć zaledwie połowę tego zapotrzebowania.

Dlatego Liga Ochrony zdrowia podjęła badania nad całym szeregiem surrogatów chininy, zdolnych zastąpić to specyficzne lekarstwo. Jednym z takich preparatów, wyprodukowanych syntetycznie, jest t. zw. „plazmochina”.

Środek ten okazał się znacznie silniejszym i skuteczniejszym od chininy, a wielką jego zaletą jest, że nie wywołuje tych przykrych ubocznych objawów, jak zaburzenia wzrokowe i słuchowe, szum w uszach itp., występujących zawsze przy zażywaniu większej ilości chininy.

Drugim skutecznym środkiem, stosowanym z powodzeniem zwłaszcza w wypadkach „febry tropikalnej”, jest „atebrina”, produkt niemiecki. Kombinacja atebriny i plazmochiny w działaniu swem leczniczym przewyższa znacznie chininę.

Puder przyczyną śmierci dziecka

W lwowskiej klinice chorób dziecięcych zanotowano w styczniu br. wyjątkowy wypadek śmierci 12-miesięcznego dziecka, które uduśiło się skutkiem wzięcia znacznej ilości pudru. Gdy mianowicie dziecko po codziennej kąpieli zaczęło płakać, — matka dała mu do zabawy pudełko z pudrem, poczem oddaliła się celem przygotowania ubranka. Nagle dziecko poczęło gwałtownie kaszleć. Jak się pokazało, połknęło ono znacznie większą ilość pudru, który przy oddychaniu dostał się do tchawicy i do płuc, powlekając je warstwą kłajstru i powodując w końcu uduszenie.

(R.)

Podział świata

P przed trzema niespełna miesiącami (7 czerwca) minęło równo 440 lat od słynnego w historii naszej kultury, a w szczególności w historii geografii, — dnia **podziału świata**. W czerwcu bowiem 1494 roku dwory hiszpański i portugalski za pośrednictwem swych pełnomocników: dyplomatów i uczonych geografów i fachowców sztuki żeglarskiej zawarły traktat, przeprowadzający ściśle rozgraniczenie sfer podbojów i wpływów hiszpańskich (ściślej mówiąc — kastylskiej) i portugalskich na morzach i lądach zarówno świeżo odkrytych i zdobytych, jak i tych, które dopiero miały być odkryte i zdobyte w przyszłości.

Jeszcze bardziej jednak ciekawym i znamienym od powyższego układu był podział świata między sfery podbojów i wpływów tychże państw, dokonany przez papieża Aleksandra VI Borgię słynną bullą z dnia 9 maja 1493 roku. Zarówno sam fakt autorytatywnego rozstrzygnięcia sprawy par excellence politycznej i gospodarczej przez najwyższą powagę moralną chrześcijaństwa, jak i sposób, zapomocą którego rozstrzygnięcie to dokonane zostało, — efektowny gest z kategorii tych, o których pamięć nigdy w historii nie zginie (w rodzaju rozcięcia węża gordyjskiego przez Aleksandra, zachowania się Marjusa na ruinach Kartaginy czy sądu Salomona) — z wszechmiar na najwyższą zasługują uwagę.

Druga połowa w. XV-go w dziejach rozszerzenia horyzontu wiedzy Europy o świecie wyróżnia się licznymi doniosłymi, a niesłychanie odległymi, a zuchwałymi (jak na owe czasy) podróżami Portugalczyków wzdłuż brzegów Afryki. W XV-tym stuleciu światem dla Europejczyka była, poza Europą samą, Afryka północna (na wschodzie Egipt i Etyopia — Abissynja, na zachodzie brzegi mauretańskie aż do przylądka Bojador — 26 st. szer. półn.), Azja przednia i słabo przedstawiane sobie i geograficznie fałszywie umiejscowione kraje indyjskie, Chiny (Kathay) i wyspa Zipangu (Japonia).

Na północy, poza Islandją, wiadano jeszcze gdzieś o Grenlandji i Labradorze, pamięć jednak odkryć wikingów normandzkich w tych zach.-półn. stronach zaginęła już wtedy niemal zupełnie.

Ambicją i marzeniem panujących, wielkich kupców, misjonarzy i żeglarzy było odnalezienie drogi morskiej na najdalszy wschód, do uchodzących za fantastycznie bogate — Indyj, Chin i Zipangu, morska ta droga bowiem była niezbędna naskutek szyszan i prześladowań, z jakimi spotykali się udający na ów przebogaty wschód drogą lądową Europejczycy — ze strony muzułmanów.

Poszukiwaniem tej właśnie drogi są podróże Portugalczyków w w. XV., podróże, których owocem było zetknięcie się Europejczyków ze światem równikowym i zaprzeczenie przez rzeczywistość błędnego mniemania, od czasów starożytności pokutującego, że pod zwrotnikami nie istnieje wcale życie, już nie tylko zwierzęce, ale i roślinne. Podróże te chwały nieśmiertelności odkryły imiona księcia-infanta (następcę tronu) Henryka Żeglarza, który choć osobiście w żadnej podróży nie wziął udziału, przez długie lata był inicjatorem i duszą wszystkich przedsięwzięć, wypraw, odkryć, a obok niego i tuż za nim — imiona Gila Eannesa, który żeby prześlagać zagniewanego nań słusznego księcia, przyrzekł, że albo opłynie przylądek Bojador, albo nigdy nie wróci, — opłynął i wrócił; Alfonsa Gonsaleza, Nuna Tristao, Dionizego Diaza (on to pierwszy ujrzał zielenią pokryte i bujnym pierwotnym życiem kipiące, lasy zwrotnikowe), Dioga Cao, nadewszystko zaś — Bartłomieja Diaza, który w r. 1487 dosięgnął południowego krańca Afryki, nadając znajdującemu się tam przylądkowi nazwę „Przylądka Burz”, nazwę tę jednak król Jan II zmienił na „Przylądek Dobrej Nadziei”, uważając, że połowa drogi do Indyj jest już zrobiona.

W końcu w. XV jest Portugalia największą potęgą morską i pierwszą posiadaczką kolonii w nowo odkrytych kra-

jach — wszystkie swe odkrycia i podboje uprawomocniła, uzyskując odpowiednie papieskie bulle.

Potężde jednak Portugalczyków jeszcze w tym samym XV wieku zadany był cios dotkliwy: plan odnalezienia drogi morskiej do Indyj w kierunku zachodnim nie został wprawdzie zrealizowany, próba jednak realizacji, dokonana przez genialnego żeglarza Kolumba, a pod flagą Kastylii wzbogaciła tę ostatnią o nowe posiadłości w t. zw. Nowym Świecie — posiadłości, których ogrom trzeba było sobie uzmyslać długie lata i lat dziesiątki.

Najnowsze badania historyczne zbijają niemal zupełnie popularną tradycję o nieuctwie, głupocie i bezmyślności przeciwników planu Kolumba w porównaniu z jego geniuszem, jego światłym i wielkim umysłem i olbrzymią wiedzą.

zpośród uczonych jego oponentów właśnie na podstawie ścisłych dochodzeń nauki podawali w wątpliwość tę zbyt małą długość drogi. I właściwie rację mieli oni, i zdaje się nie ulegać wątpliwości, że gdyby Kolumb wiedział, jaka jest odległość istotna, nigdyby nie odważył się na zrealizowanie swego planu.

Swą wielką sławę i szczęście zawdzięcza samej naturze, która w połowie drogi zachodniej między Europą, a Azją rzuciła kontynent, nieznanym zupełnie staremu światu — kontynent, który i Kolumbowi (trwał w tem złudzeniu aż do śmierci), i początkowo wszystkim wydawał się Azją, w czem widziano triumf koncepcji Kolumba, a pognebnienie jego przeciwników.

W każdym razie, korona kastylska stała się panią olbrzymich, a jak niebawem się okazało — bogatych w nie-



W świetle tych badań Kolumb ukazuje się nam, jako ciasny doktryner-fanatyk, który miał takie szczęście, jakie rzadko stawało się czymś udziałem w historii. Pomysł dostania się do Indyj, płynący wciąż na zachód, nie był wyłącznie jego pomysłem, — ma więc Kolumb przede wszystkim zasługę, jako nie cofający się przed niczem, odważny wykonawca przedsięwzięcia istotnie, jak na owe czasy, szalonego.

Chodziło o to, że Kolumb odległości między Europą a Azją w kierunku zachodnim na podstawie mylnych pomiarów geograficzno-matematycznych obliczył w ten sposób, że przedstawiała mu się ona dwa razy mniejsza, niż była w rzeczywistości. Tymczasem niektórzy

zmiernie zasoby złota — posiadłości. Sukcesy hiszpańskie nie musiały, rzecz zrozumiała, budzić zachwytów ze strony portugalskiej, toteż zaostrożni się poważnie stosunki kastylsko-portugalskie, przyczem Portugalia niedwuznacznie dawała do zrozumienia, że całą swą potęgę morską wykorzysta w celu przeszkadzania Hiszpanom ich akcji odkrywczej i kolonizatorskiej. Groził wybuch wojny, na lądzie jednak połączone unią osobistą monarchów (Ferdynanda i Izabeli) — państwa hiszpańskie: Aragon i Kastylija były silniejsze, nie okazała się więc Portugalia zbyt skłonna do rozprawy zbrojnej, Hiszpania zaś, chcąc w opinii powszechnej zyskać równe z Portugalią prawa do odkryć i zdoby-

dziły się zasadniczo na przyjęcie decyzji papieskiej, Portugalia jednak uważała się nieco skrzywdzoną, tak, że po długich targach 7 czerwca 1494 r. ustalono nową linię graniczną („raja”), opartą na decyzji papieskiej, lecz przesuniętą na zachód na korzyść Portugalji, a to w ten sposób, że rozgraniczenie sfer umieszczone było nie w odległości 100 mil od Azorów, ale 370 leguas, czyli 1380 mil. W ten sposób Portugalji przypadła część lądu w Nowym Świecie, odkryta wprawdzie dopiero w r. 1500, jednocześnie niemal przez Hiszpanów (Hortę) i Portugalczyków (Cabral), zgóry jednak przeznaczona ostateczną redakcją papieskiej decyzji podziału świata — na posiadłość portugalską, jedyną posiadłość tego kraju w Ameryce — Brazylię.

W r. 1498 Portugalczycy osiągnęli wreszcie wymarzony cel: Vasco de Gama dotarł do Indyj drogą wschodnią dookoła Afryki, drogą zachodnią dopłynął do brzegów Azji, czyli że zrealizował marzenie Kolumba — Portugalczyk również, ale w hiszpańskiej służbie pozostający, Magellan (właściwie Magalhaens), którego eskadra dokonała pierwszej podróży dookoła świata (1519—1522).

Dziś nic już nie pozostało z praw hiszpańskich do panowania nad zachodnią półkulą świata, a portugalskich nad wschodnią. Gdzie powiewała niegdyś flaga portugalska, dziś powiewa brytyjska, holenderska, francuska i tylko Angola, Mozambik i małe wysepki w Afryce, a Goa i Makao — w Azji, pozostały ostatnimi śladami dawnej potęgi.

Wszystkie zaś kolonie hiszpańskie albo oderwały się od metropolii i ogłosiły niepodległość, albo też wpadły w obce ręce.

Minęło jednak 400 lat prawie i znówu dwa państwa zwróciły się do papieża (Leona XIII), jako do najwyższego autorytetu, by rozstrzygnął, do kogo mają należeć wyspy Karolińskie na Oceanji. Państwami temi były Hiszpanja i Niemcy. Papież rozstrzygnął sprawę na rzecz protestanckich Niemiec — cały świat przejął się podziwem i szacunkiem dla wspaniałej bezstronności najwyższego autorytetu moralnego w chrześcijaństwie.

TEODOR PARNICKI.

Marja Stuart u wód

Anglicy niezawsze dobrze umieją historję, ale trzeba powiedzieć, że są w niej zakochani. A przede wszystkim przemawiają do nich sławne postacie przeszłości, około których wieki wytworzyły legendę. Lubią też malownicze stroje historyczne i lubią się w nie przebierać. Stąd skłonność do t. z. *pageants* t. j. widowisk, odtwarzających sceny, niekoniecznie z dziejów, ale z życia postaci, które z nich są znane. I Anglicy lubią wiązać te widowiska z miejscowościami i ich tradycją.

Ciepłe źródła lecznicze w Buxton w hrabstwie Derby były znane już w XVI w. Gdy Marja Stuart jako więzień swej „angielskiej siostry” Elżbiety pozostawała pod nadzorem hr. Shrewsbury, do którego należało Buxton, pozwalano jej kilkakrotnie wyjeżdżać do tych wód. Czula się tu najlepiej.

Ostatni pobyt nieszczęśliwej królowej trwał od połowy czerwca do końca lipca 1584. Istnieje list jej do francuskiego ambasadora, datowany „Bouxtons, 7 lipca 1584”, a pisany w starym zamku tamtejszym.

„Nie do wiary” — pisze Marja, — „jak ta kuracja uspokoiła moje nerwy i wysuszyła w moim ciele wodniste humory, któremi wskutek słabego zdrowia tak obficie było wypełnione”.

Nadszedł czas wyjazdu. Królowa

przeczuwała, że ogląda Buxton i piłt jego wody po raz ostatni. Nad jej głową gromadziły się czarne chmury. Z pod nadzoru łagodnego, i szlachetnego hrabiego Shrewsbury miała przejść pod straż surowego purytanina Sir Amyasa Pauleta, zamienić Sheffield Castle, Wingfield Manor na zamek Fotheringhay. Może zresztą Marja przewidywała już swój tragiczny koniec.

Była to kobieta o bardzo wysokim wykształceniu i o znacznych zdolnościach poetyckich. Jej francuskie wiersze są dość znane. Umiała jednak pisać i łacińskie. W dzień odjazdu wycięła diamentem na oknie swej sypialni w starym zamku następujący dwuwiersz:

*Euxtona, quao calidae celebrabere
nomine lymphae,
Forte mihi posthac non adeunda, vale.*

(Zegnaj mi Buxton, sławione z powodu ciepłych źródeł. Może już nigdy nie będę mogła cię ujrzeć.)

I nie ujrzała już Marja pięknej miejscowości. W dwa lata później w dolnej sali zamku w Fotheringhay spadła jej głowa pod mieczem katowskim.

W roku bieżącym nadeszła 350-rocznica rozstania się nieszczęśliwej z Buxton. Uczciły jej pamięć uczennice katolickiej szkoły pod wezwaniem św. Anny odbywając rodzaj procesji w historycznych strojach.

W. T.

Portret w sztuce Matejki

Stosunek portretów Matejki do postaci w jego „obrazach historycznych”. — Ich wartości i wady. Problem podobieństwa. — Sądy współczesnych.

W latach, kiedy sztuka Matejki dochodzi do najwyższego rozkwitu, kiedy wielki artysta zdążył olbrzymią potęgą swej indywidualności przytłoczyć swoich współczesnych, wstrząsnąć ich umysłami i sercami, występując w całym rymsztunku genialnego wizjonera przeszłości, dramaturga i romantyka, — pojawia się u niego równoległe do t. zw. „malarstwa historycznego”, które oczywiście niewyczerpuje i nieokreśla zupełnie tego fenomenu artystycznego na niwie polskiej sztuki, także portret człowieka, który w jego twórczości zajmuje wcale poważne stanowisko.

Jest rzeczą nader ciekawą, że ten tragiczny, pesymistyczny, a natchniony opowiadacz przeszłości narodu, tak wspaniały i niezwykle sugestywny w swych kreacjach takiego Skargi, Hozjusza, Batorego, Possewina, Władki, Cyprjana, czy Naszczokina, Wernyhory, Zygmunta I, Stańczyka, Bezimiennego, Witolda czy Ulrycha, oraz całej masy innych niezrównanych postaci rycerskich i pacholących, przepełniających owe dzieła historyczne, — pozostał w portretach poszczególnych współczesnych mu osobistości daleko w tyle zarówno pod względem siły ich formalnego kształtowania, jak i potęgi psychologicznej interpretacji. Nie znaczy to jednak bynajmniej, aby i na tem polu Matejko nie osiągnął także wybitnych rezultatów. Wobec ekspresji jego niektórych portretów podobne dzieła nie tylko dawniejszych, ale i współczesnych malarzy polskich, wydają się być spokojnymi twarzami o cechach równowagi form, specyficznej dyskrepcji barwy i ciszy malarzkiego modelunku.

Jeśli przypatrzymy się galerii portretów Matejki, jak n. p. portretowi **Serafińskiego**, wspartego szerokim gestem o krawędź stołu i podnoszącemu ku górze okoloną bujnym zarostem głowę wieszczą, — **hr. Moszyńskiego**, siedzącego w niedbalej, swobodnej pozie, jakby rozrzuconej w różnych kierunkach po powierzchni płótna, — **Szujskiego**, rozpartego szeroko w krześle w nagłym kontrapostowym ruchu, przypominającym poruszenie „Mojżesza” Michała Anioła, wyniosłemu egocentrycznemu przedstawieniu **hr. Adamowej Potockiej**, ograniczonemu ekspresyjnie kształtowanym konturem, — dynamicznemu przedstawieniu **hr. Alfredowej Potockiej**, czy wreszcie „**Autoportretowi**” o wizjonerskich oczach, kryjącemu pod pozornym spokojem jakąś nerwową dynamikę siły i potęgi ducha, — cała różnica temperamentu, światopoglądów oraz odrębnych wartości pomiędzy nim, a innymi przedstawicielami współczesnego malarstwa portretowego, przejawia się nam w zupełności. Postacie Matejki, jakby wtłoczone w ramy płócien, zdają się w nich nie mieścić, przełamując tła siłą i ruchem swych form, udając jakoby brakiem organizacji kipiącego i tętniącego w obrębie ich struktury fizycznej życia.

„Myśl Matejki — pisze Witkiewicz — rozsadała spójnie jego koncepcję malarzską, z drugiej strony malarz gnany pasją widzenia jaknajdoskonalszego, wgryzał się w szczegóły plastyczne obrazu i rozbijał myśl zasadniczą na mnóstwo drobnych wniosków.”*) W portre-

cie Matejki, tak jak i w jego dziełach historycznych, brak niestety, mimo potężnych niekiedy zalet, tej zimnej organizacji środków formalnych i malarzskich, które widzimy wszędzie u najwybitniejszych przedstawicieli tego rodzaju sztuki, jak **Henryk Rodakowski**, **Leon Kapliński**, lub **Andrzej Grabowski**, a którzy wobec kreacji wielkiego mistrza, czynią swymi pracami wrażenie klasycznego spokoju. A jednak portret Matejki nie jest jedynie rezultatem pozytywnego, realistycznego światopoglądu. Zachodzi tedy pytanie, w jaki sposób ustosunkowuje się ten artysta do pozującego mu człowieka — modela, w jaki sposób działa na niego ów człowiek swymi indywidualnymi cechami psychiki i charakteru, — w jakim wreszcie stopniu wprowadza w swym portrecie wewnętrzne życie osoby portretowanej, tego zbiornika duchowej energii.

Witkiewicz w swoim znakomitym studium o Matejce, mówiąc ogólnie o jego dziełach powiada o specjalnej rasie ludzi przez niego stworzonej, rasie przepełnionej „jakimś fatalistycznym tragizmem, głębokimi uczuciami i namiętnościami, oraz niesłychanie silnym napięciem psychicznym, ludźmi potężnymi i nadzwyczajnymi”, portrety zaś jego sprowadza również częściowo do tworów tejże rasy, stworzonej przez Matejkę, z pominięciem w wielkiej mierze cech indywidualnych modeli, na których uniesiony temperament malarz, wytlaczał silne znamię swojego wewnętrznego świata uczuć. „Wszystkie one — pisze — wyrażają bardziej Matejkę, niż tych, których mają przedstawiać.”)

Trudno nie przyznać Witkiewiczowi trafności obserwacji. Niemal wszystkie portrety twórcy „Grunwaldu”, bez różnicy płci i wieku, zbliżają się do siebie jakimś wspólnym rysem, pokrewnym typem ludzi, z jakiegoś innego, a wspólnego im wszystkim świata uczuć i, mimo całego realizmu traktowania, są częściowo jakoby wyrzucone z realnego świata w jakąś obcą mu, nierealną, metafizyczną sferę. I mimo, że prawie każdy z portretów Matejki z osobna, działając na widza niezwykle przekonująco, — to jednak zestawione w szereg są one niezbitym dowodem, że artysta nie potrafił, czy też nie chciał podporządkować się cechom indywidualnym swych modeli, lecz przygniatał je potęgą swojego własnego, indywidualnego

*) St. Witkiewicz: Op. cit. str. 212, 271—272.

go „ja”, tworząc ideał nie pewnego poszczególnego człowieka ale człowieka wogóle, będącego częściową materializacją jego własnych wewnętrznych tendencji uczuciowych.

Portrety Rodakowskiego, Kaplińskiego, lub Grabowskiego, to wszystko ludzie o różnych charakterach i rozmaitych przekrojach psychicznych. Niema w nich wprawdzie — pomijając różnice w artystycznym światopoglądzie, — owego wielkiego napięcia energii życiowej i pewnej specyficznej zaświatowości spojrzenia, przy jakiejś barokowej ekspresji ruchu, który cechuje tak często portrety Matejki. Arystokratyczny światopogląd w portretach Rodakowskiego, czy też mieszczański u Grabowskiego, nie przeszkadza im stworzyć galerii odrębnych charakterów, nie kłując zbyt ich umiejętności wczuć się w każdą poszczególną duchowość i przedstawiania poprzez obiektywizm form myślącego i czującego ciała, jako w wielkiej mierze produktu podłoża i rozwoju danego człowieka.

Rozważania powyższe prowadzą nas jednocześnie do postawienia sobie pytania co do rozwiązania przez Matejkę problemu podobieństwa. Problem podobieństwa portretowego — według zdania Waetzołda — jest osobliwym wypadkiem ogólnego zagadnienia w dążeniu do prawdy natury, — należy zaś przez nie rozumieć związek naszego życia wyobraźni, fundamentalny stosunek pomiędzy treściami świadomości, stosunek, który nieda się bliżej zdefiniować, lecz da się tylko wykazać w przeżyciu.”) Podobieństwem w portrecie — mówiąc krótko — będzie się nazywał stosunek treści dzieła sztuki, do treści pozaartystycznej rzeczywistości. Znaleźnienie podobieństwa w portrecie, będzie nie tylko przedstawieniem podobnego fizycznego człowieka lecz poznaniem również jego niezmiennej, pojedynczej osobowości. Tedy paralelizm form zjawiskowych w naturze i sztuce, jest głównym warunkiem estetycznego oddziaływania portretu, a będzie ono dopiero wtedy mogło być rozwiązane, jeśli będzie utrzymane w pewnej średniej strefie, obejmujące jego wartości.

Już Stanisław Tarnowski w swym dziele o Matejce, powiada o jego portretach, że wydobywa się z nich poza tendencjami dekoracyjnymi, „skłonność do fantazjowania na temat danej osoby i że niema prawie portretu, w którym-

*) W. Waetzołd: „Die Kunst des Porträts”, Lipsk. 1908, „Ähnlichkeitspro-

by się te obie skłonności nie przejawiały, zaś egzagerując niekiedy rysy oryginalne, doprowadza do ostateczności, co w nim w rzeczywistości było, czyniąc wtedy dzieło niepodobne i nieprzyjemne.”) Mniej więcej to samo twierdzi Witkiewicz.

Niewątpliwie podobieństwo osoby portretowanej jest kwintesencją, naczelnym postulatem naturalistycznego, czy realistycznego portretu, poza jego wartością jako dzieła sztuki. Rozwiązanie problemu portretu przez Matejkę i wyżej wymienionych artystów, wysuwa pod tym względem dwa różne rodzaje nastawienia w stosunku do osoby portretowanej, pewnych szczególnych, różnych od siebie uzdolnień, wskazujących na odmienność ich podstawowych elementów duchowych, powodujących zajęcie odmiennego stanowiska w stosunku do rzeczy. Podczas gdy pierwszy spotykając się oko w oko ze swym modelem (nie mogąc swobodnie interpretować, jak to czynił w obrazach historycznych), popada w konflikt z całą indywidualnością, a tendencjami własnej, despotycznej, potężnej osobowości, a pozwalając jej w rezultacie zwyciężyć, stępia jednocześnie z jednej strony w tych zapasach własną indywidualność, z drugiej zaś zatracając obniża w wielkiej mierze indywidualne cechy osoby portretowanej, — to tamci artyści poddają się wrażeniu cudzego „ja” i usiłując poznać jego psychofizyczne dominanty, starają się oddać je do pewnego stopnia obiektywnie, podnosząc w pewnych określonych granicach siłę ich napięcia, prowadząc je niekiedy w ten sposób do spotęgowanej materializacji indywidualnej duchowości.

Czy będzie nas tedy dziwił i napelniał może rodzajem pewnego politowania wierszyk współczesnego, a nieznanego nam wierszoklety wierszyk, który przechował się do dzisiejszego dnia w tradycji kilku żyjących osób, brzmiący mniej więcej w ten sposób:

„Daj mi malować mężu, jeżeliś bogaty,

„Grabowski twarz wykona, a Matejko szaty.”

Wierszyk ten, stawia swoim żądaniem spełnienie postulatów podobieństwa, z owym delikatnym odcieniem idealizmu, podobieństwa, które tak doskonale stwarzał Andrzej Grabowski, — pomija natomiast całkowicie geniusz Matejki, zostawiając go na boku w kształtowaniu ludzkiego oblicza, każąc mu w nieśmiertelnym, kobiecym, egoistycznym kaprysie podobania się, malować szaty, które ten artysta tak wspaniale i bogato oddawał w ich materialnych cechach.

Dr. M. T. Minich

**) St. Tarnowski: Matejko str. 317, 318.

Mieczysław Pawlikowski

(w 100-lecie urodzin)

Mieczysław Pawlikowski, to jedna z najpiękniejszych postaci, jakie wydała Galicja w ciągu ubiegłego stulecia. Dziwnym zbiegiem okoliczności, w tej epoce, w której dość łatwo zdobyć było można rozgłos i wziętość, Pawlikowski pozostał nieznanym, choć w wielu sferach żyje do dziś jeszcze jego nazwisko, specjalnie u ludzi, którzy go znali w późnym okresie jego życia. Patriarchalny urok, jaki wokoło siebie rozciągał, czynił go wybitnym przedstawicielem epoki, która na zawsze minęła.

Mieczysław Pawlikowski urodził się

dnia 9 września 1834 roku we Lwowie, jako jedyny syn Gwalberta i Henryki hr. Dzieduszyckiej. Bardzo staranne wychowanie, odpowiedni dobór nauczycieli, łatwość w przyswajaniu sobie obcych języków, umożliwiły mu zaznajomienie się w krótkim czasie z kulturalnym dorobkiem ludzkości. To też po zdaniu matury w roku 1852 i wpisaniu się na wydział prawny uniwersytetu lwowskiego, zdobył odrazu w życiu akademickim przodujące stanowisko. Otoczony gronem wspaniałych lwowskich postaci, jak Jan Dobrzański, Kornel Ujeński, Mieczysław Romanowski, Juliusz Star-

kel, Bruno Bielawski, Ludwik Wołski, cały wolny czas poświęca pracy dziennikarskiej.

Drukuje w tym okresie bądź w „Nowinach” bądź w „Dzienniku Literackim” sporo drobnych wierszy. Ale praca w dziennikach czy systematyczne przygotowywanie się do egzaminów, stanowiły realną pracę dla siebie i nad sobą. Dla ojczyzny — pozostawał trud, ukryty przed ciekawym okiem austriackich władz politycznych. Nie ulega żadnej wątpliwości, że do kół spiskowych należał, może nawet był ich duszą, jak duszą był grono, które staczając literackie

*) St. Witkiewicz: „Matejko”, Lwów 1912, str. 71.

boje, zawsze i wszędzie zasięgało jego rad i opinii. Przypuszczam, że wyjazd do Paryża jesienią roku 1855, był wyjazdem nie dla przyjemności jedynie, ale także dla nawiązania nici, czy też zdania relacji z działalności organizacji lwowskiej przed władzami naczelniemi.

Znamienna jest rzeczą, że Mieczysław mieszkając u Elżanowskiego, który wspólnie z Mierosławskim i Miłkowskim pracowali nad przygotowaniem powstania styczniowego.

Pobyt w Paryżu, który wykorzystał i dla siebie, przyniósł mu nie tylko możliwość osobistego spotkania się i rozmowy z Adamem Mickiewiczem, ale obdarzył go przedewszystkiem cennym klejnotem, przyjaźnią C. K. Norwida.

W tym czasie otrzymuje Pawlikowski w Paryżu list od Ludwika Wolskiego, donoszący, że na skutek kłótni między Dobrzańskim a Zacharjasiewiczem i cofnięcia przez tego ostatniego, zaczętej w odcinku powieści, wydrukowano w „Nowinach” poemat Mieczysława, zatytułowany „Pamiętnik pieśnarza”. Poemat ten, który na turnieju poetyckim między Romanowskim, Wolskim i Pawlikowskim uzyskał palmę pierwszeństwa, poświęcony na własność Ludwikowi, tylko przez dziwny zbieg okoliczności zobaczył światło dzienne. Wprawdzie dał się Mieczysław, że bez jego zgody wydrukowano poemat, który do druku nie był przygotowany, ale rychło pogodził się z tą myślą i wybaczył „Lusiovi” ten literacki „nietakt”.

Po powrocie z Paryża wpada Pawlikowski w wir zajęć literackich i politycznych. Pałac w Medyce gości teraz całą elitę intelektualną ówczesnego Lwowa. Romanowski, Bruno Bielawski, Walery Łoziński, Wolski, wśród ślicznego parku szukają natchnienia do swych utworów. Przez czas dłuższy przebywa w Medyce autor Chorała, któremu Mieczysław ofiarował gościnę, — co dla zniekanego wtedy Ujejskiego było prawdziwym dobrodziejstwem.

Wśród ognistych dysput mija czas, prowadzący nieuchronnie do katastrofy z roku 1863. Zapatrywania skrajnie rewolucyjne, przypieczętuje Romanowski krwią swoją na polach Józefowa, te same zapatrywania zaprowadzą Pawlikowskiego do kazamat ołomunieckich.

W roku 1859 łączy się Mieczysław dożgonnemi węzły z kuzynką swą, Heleną hr. Dzieduszycką. Zdawałoby się, że z chwilą założenia własnego gniazda rodzinnego, Mieczysław poniecha całej swej działalności i otoczony wygodami, jakie daje majątek, zasklepi się w jednej ze swych posiadłości. Tymczasem stało się inaczej. Zbliżał się moment ostatecznej rewolucyjnej rozgrywki. Pawlikowski oddany służbie dla kraju pracuje ofiarnie. Żona Mieczysława — nie tylko nie przeszkadza w tej pracy, ale zachęca i podtrzymuje.

Wybuch powstania. Czynny jak zawsze Mieczysław przez krótki okres do wyjeżdża Jacka Siemieńskiego sprawuje tymczasowo urząd Komisarza Cywilnego Galicji Wschodniej, a w marcu (27-go) Rząd Narodowy mianuje go Pomocnikiem Komisarza na Galicję Wschodnią. W trzy dni później, na polecenie Rządu Narodowego, wyjeżdża Mieczysław do Czerniowic, gdzie zajmuje się skupywaniem broni dla powstańców. Ze swych obowiązków wywiązał się znakomicie. Dostarczył bez żadnych strat dużą ilość naboju i prochu. Na stanowisku pomocnika Komisarza Rządu Narodowego we Lwowie wytrwał do dnia 12 lipca, w którym to dniu otrzymuje na własną prośbę dymisję z równoczesnym rozkazem, „aby w czasie jak można najkrótszym przybył do Warszawy, gdzie mu odpowiednio obowiązki wskazane będą”. Od sierpnia tegoż roku przez parę miesięcy przebywa w Krakowie i tu pełni funkcje przy Komisarzu Rządu Narodowego Majewskim. Wraca następnie do Lwowa, gdzie po ustąpieniu Bolesława Lutostańskiego zostaje komisarzem policji narodowej.

Na tem stanowisku zaskoczyło go uwięzienie. Dnia 3 marca 1864 do miesz-

kania Pawlikowskich wkroczyła policja austriacka. Po przeprowadzeniu rewizji zabrano do więzienia Mieczysława Pawlikowskiego i oddano do dyspozycji sądu śledczego. W połowie maja 1864 roku odbył się proces oskarżonych o przynależność do organizacji, mogącej narazić spokój cesarstwa na zakłócenie. Wyrokiem sądu wojkowego skazano Pawlikowskiego na dwa lata twierdzy. 22 maja w nocy wraz z Henrykiem Jano wywieziono go do Ołomuńca.

W półtora roku później ogólna amnestja dla więźniów politycznych uwolniła Mieczysława z wilgotnych kazamat twierdzy, umożliwiając mu połączenie się z żoną i dziećmi, mieszkającymi w Szwajcarii.

Z końcem roku 1866 wracają Pawlikowski do kraju i po krótkim pobycie w Radziszowie przenoszą się na stałe do Krakowa. Tu w roku 1868 należy Pawlikowski do szczupłego koła ludzi, którzy zakładając dziennik „Kraj”, szerzą program demokratyczny, staczając walkę ze stronnictwem konserwatywno-ugodowym. W tym okresie na łamach „Kraju” pisze Mieczysław swoją doskonałą „Kronikę”, którą chyba tylko z „Kronikami” Jana Lema porównać można. Polityczne, czy publicystyczne artykuły Pawlikowskiego stanowią prawdziwą ozdobę „Kraju”, a feljetyony z roku 1871 p. t. „Pseudo. Plotki i prawdy” stoją po dziś dzień na szczytach dziennikarstwa polskiego. Mają one inne jeszcze znaczenie: są literackim przeciwstawieniem się „Tece Stańczyka”. W „Plotkach i prawdach” podkreśla autor wady społeczeństwa i biczem głębokiej satyry smaga wszelkie „pseudo blagie”, „fanfaronadę” i „polakerję” jak szereg wad narodowych nazywa. Ostre satyry kieruje tak że przeciw „prorokom”, którzy w wierzeniach swoich przepowiadają społeczeństwu jego przyszłość, a sami bez przyszłości, zagrożeni na zapadłej prowincji nic realnego nie czynią, bo jako prorocy nie mogą zajmować się żadną pracą.

„Do pracy mrówczej chciesz mnie wpręgnąć bracie...
Darmo — jam orłem stworzony przez Boga!
Wy? nie idee lecz ziemię kochacie,
Wam gleba wasza — nie ojczyzna droga.
Błyskawicowe czekają mnie czyny
Nie mrówcze znoje... i t. d.”

odpowiada „prorok” na prozaiyczną propozycję zajęcia się zbieraniem w swym obwodzie składek dla Towarzystwa Rolniczego

Ostatni feljeton „Plotek” jest poświęcony „bohaterom”. „Bohater — pisze Pawlikowski — z zupełnym zaufaniem w swe siły i z niezachwianą pewnością siebie podejmuje się kierownictwa kilku instytucji autonomicznych, kilku spółek lub stowarzyszeń naukowych, finansowych, przemysłowych, gospodarczych, nawet takich którychby interesu w kolizji między sobą zostawać miały... Bohater da wszystkiemu radę, wszystkiemu zakieruje jaknajlepiej. Dla niego zaszczyty, dla niego wdzięczność ogółu, dla niego pensje — dywidendy, diety itd.” „Jakie wasze cele? Jaki wasz program?” — rzuca pytanie nasz autor pod adresem „bohaterów”. I odpowiada: „Śmieszne pytanie! Jeżeli Ludwik XIV mógł powiedzieć o sobie „l'état c'est moi”, z równem wy moglibyście powiedzieć prawem: „Nasz program to my sami. Nasz cel, to nasza przewaga, nasze przodownictwo wszędzie i we wszystkim i za jaką bądź cenę”. Jak zacytowany wyjątek świadczy, feljeton ten był wymierzony przeciw Stańczykom.

Nie możemy jednak oprzeć się pokusić zaznaczenia całkowitej aktualności tego artykułu. Ale nie tylko tego — bo całych „Pseudo. Plotek i prawd”. Po sześćdziesięciu zgórą latach możnaby je przedrukować od strony pierwszej po ostatnią a nic ze swej wartości w czasie nie straca.

Po upadku „Kraju” (1874) myśl Mieczysława w szacie, jak zwykle, wytworzył artykułów, rozpoczyna wędrówkę po dziennikach i tygodnikach. Pisanie Pawlikowski w tym czasie dużo do czasopism bądź warszawskich, bądź lwowskich. Nie skrepowany terminem, poza obowiązkiem dostarczania tu i ówdzie

korespondencji, ma czas zacząć właściwą działalność literacką. I tak w roku 1875 drukuje w „Kronice” krótką nowelkę „Hircio”. Dorastający młodzieniec Hircio, zasłuchany w odgłosy poezji romantycznej, uważający pieniądza za zło, idzie do powstania, gdzie „walczy jak lew”. Dzielać los jego uczestników, udaje się na tułaczke, do Anglii i tam w kantorze firmy Breakfast and Company, pieszcząc oko długimi kolumnami cyfr, zmienia przekonania chłopięce. Zostanie groszorem, dla którego pieniądza będzie teraz wszystkim.

„Tajemnica pani Krzuckiej” (1876), zalecająca się dowcipem założenia i niefraszobliwym humorem, należała w swoim czasie do bardzo poczytnych nowel. Pan Krzucki, jest jedną z najlepszych postaci charakterystycznych, naszej literatury.

Rok 1878 przynosi trzecią z kolei nowelę p. t. „Panna Kapitanówna”. Pisana dialogiem, przedstawia się nam raczej jako komedia niż nowela, gdzie podział na rozdziały odpowiadałby raczej podziałowi na sceny. Nowela ta jest ważnym etapem w twórczości Pawlikowskiego — stanowi bowiem przejście na wyżyny talentu, do „Testamentu Napoleona” (1879) i „Grudniowych dni” (1881). Dar narracyjny, który tak świetnie został zapoczątkowany w „Plotkach”, w „Testamencie Napoleona”, zabłysnął w całej pełni.

Napoleon Prywzdowicz, zażywający poważania w całej okolicy, cieszący się sławą idealnego sąsiada i zawołanego gospodarza, umierając czyni testament, mocą którego powołuje szesnastu swoich przyjaciół, by kolejno zarządzali majątkiem, a coroczny dochód przeznaczali bądźto na budowę szpitalika, ochronki, bądźto na inne pożyteczne fundacje. Majątek zaś cały dostanie się temu, który zostanie ostatnim z żyjących. Ale warunek. Oto wszyscy muszą się rok rocznie zbierać w dzień imienin ś. p. Napoleona, w jego siedzibie i po zdaniu rachunków i przekazaniu zarządu następnej parze przyjaciół, mają ucztować, na cześć pamięci Prywzdowicza. I zjeżdżają się co roku, i co roku nowe krzesło kirem okryte świadczy, że z kompletu ubył serdeczny druh, a szanse zdobycia majątku wzmogły się znacznie. Zostało dwu ostatnich. Hordza i Łęgoborski. Hordza chory, złamany reumatyzmem, Łęgoborski pełen sił. Dwu tych przyjaciół z ukosa patrzy na siebie, życząc sobie w duchu rychłej śmierci, by zapewnić majątek: Łęgoborski — synowi, Hordza bitwy, Łęgoborski zaś odwiedzają — córce. A trzeba wiedzieć, że Hordza wyniósł rannego Łęgoborskiego z ognia bitwy, Łęgoborski zaś odwodził się Hordzę, wyrzekając się ukochanej Joasi, która wyszła za Hordzę. Dwa razy już opuścił Hordza imieniny Napoleona i nie był w Corzunkowcach. Łęgoborski widział się już właścicielem majątku, ale los rozstrzygnął inaczej. Tadeusz Łęgoborski i Dolcia Hordzanka pobrali się, kładąc kres zawiści dwu przyjaciół. Majątek przeszedł na własność dzieci. Tak w wielkim skrócie przedstawia się treść „Testamentu Napoleona”. Wyborny pomysł i szlachetna tendencja o doniosłości społecznej, czynią z noweli tej nie tylko arcydzieło talentu narracyjnego, ale dzięki subtelnemu wnikięciu w duszę ludzką, nieprzeciętne studjum psychologiczne.

W niespełna dwa lata po „Testamencie Napoleona” wychodzą „Grudniowe dni” (1881). Drukowane w „Ateneum” są jedną z tych niezapomnianych nowel, jakich nie spotyka się często. W noweli tej przeplatanej listami od syna, doprowadził tragizm oślepłej staruszki do zenitu. „Grudniowe dni” to jedna z najpiękniejszych nowel w literaturze polskiej, godna stanąć obok perełek Sienkiewicza czy Prusa. Ujęta w świetną formę, stanowi przepiękny acz nadzwyczaj smutny obraz jednego życia ludzkiego. Scenę karmienia niemowlęcia wódką przez pijanego chłopca, by nie „zbiegło” w drodze nakreślił autor z prawdziwym mistrzostwem. Skreślenia tego właśnie obrazka, ze względu na jego realizm, domagał się Chmielewski, jako redaktor „Ateneum”. Propozycja ta wywołała list Mieczysława, w którym broni całości swej noweli, wywodząc własną teorię literacką. Po-

legała ona na połączeniu pierwiastków romantycznych z naturalizmem, co miało stanowić przeciwstawienie się podowi naśladowania Goncourtów i Zoli.

Niebawem (1882) uzyskuje Kraków trybunę demokratycznej myśli w postaci doskonale redagowanej „Nowej Reformy”. Redakcja składająca się z Asnyka, Romanowicza, Lutostańskiego, Pawlikowskiego i innych, wywiesiłszy sztandar demokracji wojującej, rychło poczęła zdobywać pozycje stańczykowskie, wprowadzając w atmosferę Krakowa sporo ożywienia i zdecydowanych poglądów. — Po krótkim redagowaniu kroniki, Pawlikowski obejmuje kierownictwo feljetonu. W niewielkich odstępach czasu drukuje na łamach „Nowej Reformy” nowelę „Druga miłość” (1883) powieść „Drugi tom” (1885); tłumaczenie „Rozwodu” Salvatora Fariny (1885), obrazek „Nowy Rok” (1890), w roku 1892 nowelę historyczną „Lat temu 44”. Ostatnimi pracami są do spółki z Sewerem pisana nowela „Odzyskana” (1892) i szkic do powieści p. t. „Baczmaha”, ilustrowany przez Włodzimierza Tetmajera, drukowany w „Tygodniku ilustrowanym” w roku 1897.

Płodny ten okres twórczości Pawlikowskiego przyniósł utwory pełnej wartości i oryginalności. Powieść „Drugi tom”, opisująca dzieje niebieskiego pta-ka, dzięki doskonałemu wnikięciu w psychę Ignacego Brwickiego i sensacyjnej treści, wysuwa ten utwór na czoło poczytnych w tym czasie powieści. „Druga miłość”, w której autor odmalował subtelniemi barwami miłość starego kawalera do młodej panienki — jest nowelą zajmującą, jednakże bardzo smutną. — Obrazek „Nowy Rok”, przedstawiający pojednanie syna, wychowanego w twardej szkole rosyjskiej z ojcem swoim powstańcem z 63 roku — należy bezsprzecznie do najlepszych.

Próba, zresztą udana, noweli historycznej, jest utwór „Lat temu 44”, kreślący dzieje Krakowa z roku 1847. Pomyślna intryga, życie więźniów i metody policyjne, stosowane względem rewolucyjnej młodzieży, czynią „Lat temu 44” ciekawym dokumentem, na którym najprawdopodobniej okres ołomuniecki wycisnął swe piętno. — „Odzyskana” pisana wspólnie z Sewerem wyróżnia się wyborym humorem i zrecznym pomysłem. Ostatnim utworem Pawlikowskiego jest „Baczmaha”. — Znalezienie zębem czasu ruszonego rękopisu, opisującego ze straszynem realizmem historię zapadającego się z wolna w ziemię Baczmahy i dzieje „fałszerza” tej historii Antosia, wypełniają ów szkic do powieści. „Baczmaha”, odznaczająca się pewną fantastyką — jest najbardziej znaną ze wszystkich prac Pawlikowskiego.

Na tem wyczerpalimy przegląd najważniejszych utworów autora „Grudniowych dni”. Na podstawie tego możemy śmiało powiedzieć, że twórczość ta nie tylko jest nawskróś oryginalna, ale także posiada nieprzeciętne zalety. Zawsze wytwornym językiem pisana, zawsze przemyślana i usprawiedliwiona, celuje w subtelne analizowanie duszy ludzkiej. Zawsze ciekawa i zajmująca — nie powinna być zapomniana.

Praca społeczna, absorbująca resztę chwil wolnych wyraziła się nie tylko w zakładaniu szeregu towarzystw, gdzie Pawlikowski, jako pracownik światłą radą był pomocny, ale także w zasiadaniu w wydziałach i zarządach tych stowarzyszeń.)

Pawlikowski był jednym z założycieli krakowskiego „Sokoła”, „T.S.L.”, „T-wa Wzajemnych Ubezpieczeń”. Zasiadał w wydziałach „T-wa Rolniczego”, „T-wa Przyjaciół Sztuk Pięknych”, był wreszcie członkiem rady miejskiej m. Krakowa. Półtoraroczne więzienie, targające nerwami zawód dziennikarski i postępująca choroba wyczerpały jego siły. Zmarł 23 grudnia 1903 z gorącą i niezłomną wiarą w zmartwychwstanie Polski. Ciało jego spoczęło w grobowcu rodzinnym w Medyce.

Tle słów przypomnienia.
Przemyśl, w sierpniu 1934.

St. Sierotwiński.

Prawo górnicze w dawnej Polsce

W Polsce w wiekach średnich prawa górnicze, czyli t. zw. „hura montana“, stanowiły część atrybutów władcy, które jako całość ujęte były pod wspólnym mianem „regaliów“. Królowie mieli wyłączne prawo wydawania ustaw i rozporządzeń normujących stosunki prawne w górnictwie na terenie całego państwa, wydawali też przywileje uprawniające do poszukiwań górniczych.

Zrazu działalność ustawodawcza władców była mało oryginalna, woleli się oni wzorować na gotowych już prawodawstwach państw bardziej od Polski uprzemysłowionych.

Istniejące n. p. oddawna kopalnie ołowiu i srebra w Olkuszu uzyskały pierwsze statuty w XIV wieku, — statuty wzorowały się na analogicznych ustawach niemieckich i czeskich. Takie wzorowanie się na obcych ustawodawstwach nie było podówczas czemś wyjątkowym, zdawało się, że czasem wprost przyjmowano prawo obce i uznawano je za obowiązujące w kraju np. w nadaniu Krzyżaków dla miasta Chełmna, mistrz krzyżacki Herman de Salza 5 stycznia 1233 r. w ustępie XIV przywileju zastrzegł sobie wyłączną własność kopalni soli, złota, srebra i innych (prócz żelaza) i nakazuje, by złote góry, gdyby jakie odkryto, takimi jak na Śląsku prawami były rządzone.

Z czasem jednakże ustawodawstwo polskie wyemancypowało się na tyle, że jedynie pewne tradycje prawne wskazywały na ich niemieckie pochodzenie. Wszystkie ważniejsze kopalnie posiadały własne, przez królów nadane, statuty, żupy wielkie zawdzięczają je Kazimierzowi Wielkiemu, kopalnie olkuskie królowej Elżbiecie, córce Łokietka, która w zastępstwie syna Ludwika Węgierskiego sprawowała w Polsce rządy, żupy bocheńskie Władysławowi Jagielle.

Jak to już wyżej powiedzieliśmy, pełnia praw górniczych należała do króla. Górnik wybierający się na poszukiwania, musiał zaopatrzyć się w specjalne pozwolenie królewskie, zwane z niemiecka listem szurfiowym (Schurfbrief). List ten (wystawiony imiennie) określał w pierwszym rzędzie, jakie minerały wolno poszukiwać i na jakiej przestrzeni, jedynie rudę żelazną wolno była każdemu kopać i wytopić bez ograniczenia i bez opłat do skarbu. Zwykle królowie wydawali pozwolenia obejmujące całą Polskę, rzadziej obszary mniejsze np. ziemię biecką lub sandecką i t. p.

Pod koniec listu wymienione były daniny, jakie winien płacić górnik królowi w razie znalezienia poszukiwanych minerałów. Opłat tych (zwanych oborą) nie pobierał król przez kilka lat od daty wystawienia przywileju, chcąc tym sposobem zachęcić jak najszerzej rzeszę górników do zdobywania nowych terenów.

Wydobywaniem szlachetnych kruszców zajmowały się towarzystwa górnicze, zwane gwarcetwami, które tytułem obory składały do skarbu monarszego jedenastą część wydobytego czystego kruszczu. Dochód z żup i kopalni solnych należał jednak w całości do króla, który mógł go zastawiać za długi lub zapewniać zeń pewien procent korporacjom lub pojedynczym osobom.

W XV wieku za wydzierżawienie kopalni wielickich i bocheńskich wpły-

wało do skarbu królewskiego przeciętnie 18.000 grzywien.

Według średniowiecznych pojęć skarby mineralne, zawarte w łonie ziemi, były własnością króla, bez względu na to, do kogo należała powierzchnia ziemi. Dlatego przywilej królewski zrazu upoważniał nie tylko do samych poszukiwań, ale i do eksploatacji znalezionych skarbów. Z czasem jednak, w miarę rozwoju przywilejów szlacheckich, zaczęto w Polsce respektować prawa posiadaczy ziemi, w której łonie rudy znaleziono.

Było to wyraźne ograniczenie władzy królewskiej odkąd sam przywilej nie dawał już prawa eksploatacji na gruntach prywatnych, górnik musiał w takim wypadku starać się o dodatkowe pozwolenie właściciela ziemi, za co zwykle opłacał pewien czynsz, zwany

„oborą szlachecką“

Zdarzało się również, że władca chcąc sobie pozyskać duchowieństwo czy też poszczególnych wpływowych magnatów, zrzekał się w obrębie ich dóbr wszelkich praw górniczych, przekazując je na rzecz właścicieli.

W takich wypadkach król wydawał górnikom ogólny przywilej na poszukiwanie minerałów, wyraźnie wyłącza obszary, co do których zrzekł się po przednio praw górniczych. Przykładem tego jest n. p. przywilej, który Zygmunt August wydał w r. 1557 Fortembachowi, upoważniając go do poszukiwań kruszców w województwie krakowskim z wyjątkiem dóbr, należących do Tęczyńskich i biskupów krakowskich.

W r. 1517 Zygmunt I ustanowił urząd camerarii montani i powierzył mu godność Lanckorońskiego, nadając mu władzę udzielania pozwoleń na poszukiwania górnicze w całym państwie.

R. Rss

Gdzie w Londynie handlują rybami

Jeżeli chcecie się dowiedzieć, co to jest Billingsgate, to przeczytajcie ten opis lub szukajcie jakiej ilustracji. Nie jest rzeczą wskazaną udawać się na miejsce. Przewodnik po Londynie mieści pod rubryką „Targowice“ następującą wzmiankę:

Billingsgate, Lower Thames Street k. London Bridge. Jest to wielka targowica ryb, ale nie można określić jej jako coś pociągającego.

Przynajmniej dla ludzi z normalnym powonieniem. Przy porządnym katarze możnaby jeszcze zaryzykować. Zapach ryb jest zabijający.

A sprzedaje ich się tu rocznie czwartą część ogólnej ilości ryb przywożonych do Anglii t.j. ćwierć miliona ton. Z tego tylko 12 proc. przywozi się wodą. Tamiza w tym miejscu, między London Bridge, na którym jeszcze w XVIII w. wystawiano na widok publiczny głowy zdrajców stanu, a smukłym Tower Bridge i dalej w stronę wschodnią nazywa się London Pool, londyńskim stawem. Tu od czasów Elżbiety zatrzymują się holenderskie łodzie, przywożące węgorze. Do roku 1923 jeszcze transport ryb prowadzono przy pomocy żaglowców, dziś zastąpiły je parowce i małe statki motorowe.

Ogromną większość ryb przywozi się jednak z całego szeregu portów angielskich pociągami.

Nad London Pool wznosi się gmach,

zwany Billingsgate, a zbudowany w r. 1877 dla potężnego cechu handlarzy ryb. Cech ten istnieje od XIII w. i może pochlubić się tem, że król i książę Walii są jego honorowymi członkami.

Niegdyś sprzedawano ryby w drewnianych budach, dopiero w r. 1846 wzniesiono gmach, który później ustąpił miejsca obecnemu. Mieści się tu ok. 250 sklepów. Czynsze wynoszą mniej więcej 50.000 funtów szterlingów rocznie. Ale nigdy nie zdołałyby te lokale pomieścić towaru, który zostaje na statkach i na autach ciężarowych. Kupcy mają pod ręką tylko próbki.

Transporty przychodzą do Billingsgate zazwyczaj między 4 a 5 rano i około 5-tej panuje ruch największy.

Sam gmach zdobi duży posąg Brytanji — ta dama widocznie ma chroniczny katar albo już oswoiła się z wonnem powietrzem tutejszem. W klatce schodowej stoi pomnik „dzielnego Walwortha, rycerza, lorda mera“. Było to w smutnej pamięci r. 1381. Doprowadzono do rozpaczcy ówczesnym powonieniem krzyżem i podatkami, szczególnie pogłównym lud wiejski zbuntował się pod wodzą Wata Tylera (nazwisko oznacza strycharza, robiącego dachówki) i w sto tysięcy ruszył na Londyn. Stolica stała się widowiskiem krwawych walk, zniszczono szereg gmachów, zamordowano arcybiskupa, skarbnika i wiele

innych znakomych osób. Młody, energiczny król, Ryszard II postanowił spróbować swego osobistego wpływu, wyruszył naprzeciw tłumowi, ażeby do niego przemówić. Wata Tyler chwycił za cugle królewskiego rumaka. W tej chwili lord mer, towarzyszący Ryszardowi, zląkszy się o jego bezpieczeństwo, zadał przywódcy buntu cios śmiertelny. W Billingsgate jeszcze pokazują sztylty z dziejami miasta i Anglii...

Jeszcze jedną uwagę należy zrobić. Na całym świecie przekupki słyną kłótniowością i z talentu językowego, który podobnie objawia się na lwowskim rynku, na Kleparzu i na londyńskich targowicach. Lecz przekupkom ryb Billingsgate przypadł w udziale największy zaszczyt. Zostały uwiecznione w słowniku. Billingsgate oznacza najordynarniejsze wyzwiska, jakie można wymyślić.

Gmach tej nazwy, wychodzący z jednej strony na Pool of London, czyli na Tamizę, ma front od Lower Thames Street. Z drugiej strony tej ulicy wznosi się Giełda Węglowa. Obie budowle projektował ten sam architekt, ale różnił się bardzo stylem. Giełda Węglowa ze swymi kolumnami i wieżyczkami przypomina Anglikom ich tradycyjne kościoły weselne.

A. E.

Tło akcji w dramacie scenicznym i radiowym

Radiosłuchacz, który zechce porównać sceniczne ujęcie jakiegokolwiek tekstu dramatycznego z ujęciem, stosowanym przez reżysera radiowego, zauważy niewątpliwie znaczną różnicę między obiema temi interpretacjami.

Inaczej ożywa słowo na scenie, inaczej spłósnie się do pójsia w świat drogą fal niewidnych, przenoszących tylko dźwięki. Mikrofon ustawiony w teatrze przy możliwie świetnym przedstawieniu jakiejś tragedji, spawilby dalekim słuchaczom zawód: z najwspanialszej wypowiedzianego monologu Hamleta uczyniłby tyradę trochę ludną i pretensjonalną, odbarwiłby to, co na scenie dźwięczało grawdziwem pięknem, wyolbrzymił nie jeden dźwięk, czy akcent pomniejszej wagi. Naodwrot, jakkolwiek ustęp dramatyczny albo zanadto przyciszony, albo zbyt jasny, byłoby w nim coś obcego, coś niepotrzebnego. Estetyczne przeżycie ucierpiałoby w obu wypadkach. Urzeczywistnienie dramatu na scenie dokonywa się inaczej, niż urzeczywistnienie radiowe. Sprawa to powszechnie wiadoma.

Jakie jest źródło tej różnicy? Odpowiedź łatwa: teatr rozporządza nie tylko słowem mówionem, ale i zbiorem zjawisk widzialnych, a więc światłem, kształtem, barwą, ruchem, radio natomiast wyraża treść dramatu przez same tylko zjawiska słyszalne: przez wszelkiego rodzaju dźwięki, szelesty, szmery. Radio ma tedy zadanie trudniejsze; musi wyrazić tę samą treść przy mniejszym

zasobie czynników wyrażających.

Możnaby sądzić, że na tem koniec sprawy — że zachodzi tu tylko różnica ilościowa, że dramat radiowy winien być tylko usilnionym, uwyraźnionym dramatem scenicznym. Uważniejszy rozbiór tego zagadnienia ujawni nam jednak coś więcej: mianowicie ukaże różnicę kierunku całego estetycznego dążenia.

W teatrze stara się inscenizator unaroczyć, to, co się w dramacie zmienia, przy pomocy zjawisk niezmiennych. Przez scenę płynie potężna struga życia, unosi ludzkie działania i towarzyszące im zdarzenia z prędkością jakoby większą, niż w świecie zwozajnym, skupia je w zgodności i w przeciwieństwach potężniejsze od tych, które trapią, czy radują nas codziennie, zwięźla je w zatory nieomijalnego konfliktu, poddaje je prawom Losu, działającym śpieszniej i bezwzględniej, niż w życiu zwykłym. Potężny przepływ, potężny i jednolity ruch, jakim jest akcja dramatu, musi być nie jako ciągle widzialny, musi towarzyszyć widomie każdemu pomniejszemu zjawisku na scenie; inaczej dramat rozspadłby się na luźne scenki. Dekorator teatralny stara się tedy wydobyć z dramatycznego ruchu i pędu pewne czynniki niezmiennie, schematycznie i ukazać je widzowi tak, aby stałym jawieniem się swoim dawały wspólne tło poszczególnym odgrywanym akcjom. Dekoracje sceniczne są właśnie zbiorem takich czynników niezmiennych, wydobytych, wykrystalizowanych z dramatycznego ruchu. W teatrze stara się dekorator wytłumaczyć ruch akcji przez zjawiska niezmiennie,

widzialne ciągle w tym samym kształcie; oprostą przeobraża niewidzialny ruch dramatu w widzialną nieruchomość oprawy scenicznej. Tworzenie tła akcji w teatrze przebiega zatem, rzecby można, w kierunku od zjawisk zmiennych ku niezmiennym, od ruchu ku nieruchomości.

Wprost przeciwnie jest przy dramacie radiowym. Tło dramatu, odgrywane przed mikrofonem, składa się z samych tylko dźwięków; dźwięk zaś jest z natury swej czemś tylko chwilowym. Dźwięk powstaje wtedy, gdy jakiś materialny przedmiot zmienia swe położenie: gdy czyjeś kroki uderzają o posadzkę, gdy czyjaś ręka uchyla skrzypiące drzwi. Radiosłuchacz domyśli się, że akcja dramatu posiada jakieś materialne tło niezmiennie — tylko wtedy, gdy owo tło, złożone z nieruchomych przedmiotów, zaczyna się ruszać: gdy zaszeleszczą karty książki, czytanej przez kogoś, gdy głośnym pluskiem ozwie się woda, w którą ktoś nurza wiośło.

Przy dramacie radiowym powstaje zatem tło akcji przez ciągle poruszanie rzeczy bezwładnych, przez przemianę nieruchomości w ruch. Dekorator teatralny ubezwładnia ruch dramatu w martwy kształt; dekorator radiowy ożywia przedmioty martwe, każe im mówić. Tło akcji przy dramacie radiowym tworzy się przez ożywianie przedmiotów martwych. Na scenie może Hamlet znaleźć czaszkę Yoricka w doskonałej ciszy; parę nieruchomych krzyży starczy, by widz wiedział, gdzie Hamlet jest. Mikrofon żąda, by zaczęły mówić dwa przedmioty martwe: by ożwił się świst grabarzowej łopaty, wsuwanej w piasek, i syk piasku, zesypywanego z łopaty.

Przypomniałbym tu pewne prawo, jak

wniemam, nienaruszalne: tło akcji winno istnieć tylko o tyle, o ile potrzebne jest dla zrozumienia słów utworu. Nadmiar dekoracji scenicznych, bezmyślne chłastanie światłem w płótna jeżdżących przeciw dramatowi w teatrze. Podobnie zbyt jaskrawe, zbyt głośne i obfite tło dźwiękowe jest grzechem przeciw dramatowi radij. Grzech ten popełniać dość często. Dla wywołania nastroju obciążano akcję nadmiarem ilustracji dźwiękowej; traciła na tem czystość i prężność dramatycznego ruchu, nie zyskiwała zrozumiałości.

Uznawałbym tu takie prawa: 1) W dramacie radiowym ozwać się może tylko przedmiot niezbędny dla akcji dramatu. Jeżeli przedmiot martwy charakterystycznym dla siebie dźwiękiem mówi: jestem, niechże nie mówi tego nadaremno. W wielu urzeczywistnieniach dotąd słuchowiskach mówiło zbyt wiele przedmiotów. 2) Każdy pogłos słowy musi budzić reakcję głosów ludzkich; musi być ważny dla ludzi, musi prostopość być jedną z postaci dramatu. W radiofonizacji „Nieboskiej“ tłum winien trochę przycichnąć, gdy odzywają się organy. Przedmiotowi wolno ozwać się tylko wtedy, gdy dotknie go akcja dramatu. Krzesło może trzeszczeć tylko wtedy, gdy ktoś na niem usiadzie; nie może trzeszczeć tylko dlatego, że to dobre wpływa na nastrój. Tak na scenie, jak w studio radiowym byłbym za minimum tła akcji, za stricte necessarium. Trudno zrealizować dźwiękowy tekst dramatu przy skąpej ilustracji. Tak; ale też tekst dramatu radiowego winien być napisany inaczej, niż tekst dla sceny. O tem innym razem.

ANDRZEJ RYBICKI